płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15 · IV · 1985 | 7

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Ta czerwona pigułka to mięsko, ta żółta to marchewka, a biała to legumina!

— Nie mogłem odrobić lekcji, bo nam się w domu zepsuł mózg elektronowy!

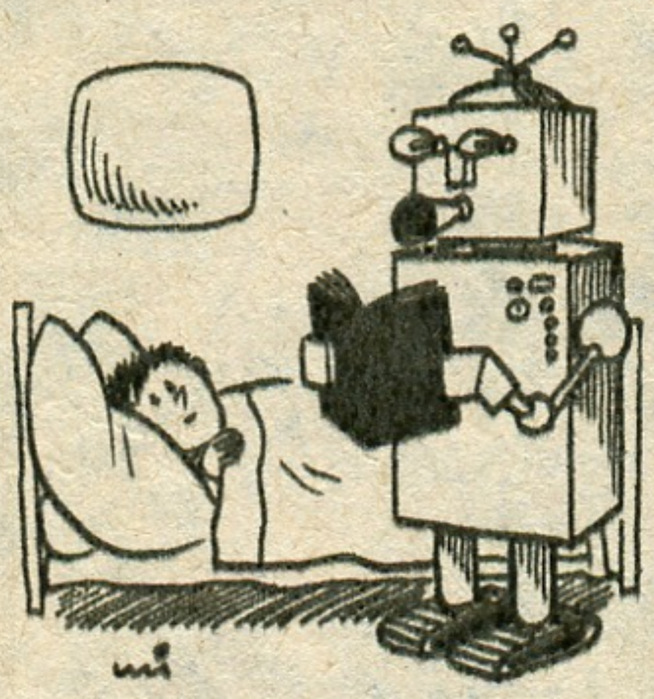

— ...i Kubuś wsiadł do pojazdu, który nie mógł ani pływać, ani latać i który śmiesznie nazywano samochodem...

A TO CIEKAWE!

SZKOŁĘ dla papug mających spełniać funkcję przewodników dla ludzi ociemniałych, otwarto w Stanach Zjednoczonych. Papugi uczy się zasadniczych słów-sygnałów: „Stój", „Idź", „W prawo", „W lewo" — używanych w zależności od zmiany świateł sygnalizacyjnych.

●

W AMERYCE POŁUDNIOWEJ żyją kosy należące do rodziny Mimidae, co znaczy Imitatorzy. Mają one rewelacyjne zdolności naśladowania różnych głosów. Kosy żyjące w lesie naśladują głosy innych ptaków, a gnieżdżące się w pobliżu ludzkich siedzib potrafią naśladować pianie koguta, gdakanie kur, miauczenie kota, szczekanie psa. Ponadto wiernie odtwarzają różne dźwięki techniczne, takie jak warkot silnika czy gwizd pociągu.

●

MRÓWKI są pracowite i bardzo pożyteczne, niszczą larwy szkodliwych owadów. Stwierdzono, że czerwone mrówki zamieszkujące średniej wielkości mrowisko, niszczą w ciągu lata od 3 do 5 milionów owadzich szkodników.

PTAKI również korzystają z najnowszych zdobyczy techniki. Zauważono, że wiele z nich buduje gniazda z nylonowych nitek (zbieranych np., wokół pobliskich przędzalni) lub nawet z cienkich strużynek metalowych.

●

ŚWIATOWY FUNDUSZ OCHRONY PRZYRODY ogłosił listę na rok 1984 najbardziej zagrożonych gatunków zwierząt. Czołowe miejsca zajmują: ssak morski dugong, kondor kalifornijski, czarnostopa łasica, niedźwiedź panda, lew tamarin i meksykańskie cykady.

●

NAJWIĘKSZĄ na świecie latarnię morską zamierzają zbudować Francuzi na wyspie Oison. Wieża latarni ma mieć wysokość 100 metrów, natomiast światło latarni przy dobrej pogodzie będzie widoczne z odległości 50 kilometrów.

●

PIERWSZA rozgłośnia radiowa na świecie rozpoczęła nadawanie programów przed 65 laty, 2 listopada 1920 roku w Stanach Zjednoczonych.

W Polsce natomiast pierwsza audycja radiowa została nadana przez Polskie Radio w 1926 roku.

Nasza okładka:

Jestem wiosną!

BOCIANY

Jak tęsknie ciągnie przez niebo
klucz bocianów —
Jakby ścigały się z obłokiem.
Ten widok niby sen zapamiętałem,
sen, który śnił się przed rokiem.

I gniazdo na topoli wysokiej.
I klekot — taki sam,
jak przed rokiem.

Po długiej rozłące,
najpiękniejsze są bociany
na łące.

Zbigniew Jerzyna

Rys. Wiesław Majchrzak

WIOSNA NA MOIM OSIEDLU

Trudno jest szukać nadchodzącej wiosny, kiedy kto mieszka na wielkim osiedlu. Ogromne bryły szarych bloków, postawionych jeden za drugim, niby gigantyczne klocki, między blokami wydeptane spłachetki czegoś, co kiedyś było trawą.

A tu, jak na złość, pani kazała napisać wypracowanie o nadejściu wiosny. Dokładnie: „Wiosna na moim osiedlu".

— Krokusy — przypomniała sobie Aśka, moja najlepsza koleżanka. — W telewizji zawsze pokazują krokusy. Kwitną jeszcze w śniegu.

— Krokusy? U nas?

— No, to śnieżyczki. Też pokazują w telewizji.

Sama wiem, że wiosna to puchate bazie w szarych kożuszkach, obsiadające wierzbowe gałązki, że wiosna to sypiące żółtym pyłkiem kwiaty leszczyny. I krokusy, i śnieżyczki. I sto innych kwiatów. Tylko skąd wziąć kwiaty na naszym osiedlu? Gdyby jakiś wyrósł, zaraz by go zerwano albo rozdeptano, bo wszyscy chodzą na skróty.

— Może przyleciały już jaskółki? — zastanawia się dalej Aśka.

— Widziałaś u nas jaskółkę?

— Nie.

— Ja też nie.

Wyglądało na to, że wypracowanie nie będzie napisane. Tym bardziej, że przyjechała moja babcia. Ze wsi. Jak zawsze z wielką brązową torbą, z której wydobywała kolejno podarki, a to uprzędziony przez siebie motek wełny, a to torbę włoskich orzechów, butelkę śmietany, wianek suszonych grzybów, jajka starannie owinięte w kawałki papieru i słoik miodu, tak przejrzyście złotego, że pojaśniała na moment nasza mroczna kuchenka.

— Aleś, wnusiu, wyrosła. Prawie panna, choć przed ołtarz do ślubu prowadź. — Babcia ucałowała mnie z obu stron w policzki. — Mama pisała, że się dobrze uczysz, moja ty pociecho. Ja tam szkół za dużo nie wąchałam, ale książki u mnie pierwsza rzecz.

Dokoła babci krążył Pawełek, skupiony i przejęty. Z jednej strony łakomie popatrywał na złoty miód w słoiku, z drugiej starał się odgadnąć, co jeszcze może zawierać przepaściste wnętrze torby. Wiedziałam, na co czeka. Podczas wakacji babcia obiecała mu scyzoryk, taki z sześcioma ostrzami, korkociągiem i małą piłką.

— Jak dorośniesz, będzie twój.

— Kiedy dorosnę?

— Niedługo. Ludzie chybcikiem rosną, prawie jak grzyby po deszczu. Ani się obejrzysz.

Pewnie Pawełek był zdania, że może już stać się właścicielem scyzoryka, nie na darmo, co kilka wieczorów, mierzył się przy framudze drzwi.

— Babciu, przywiozłaś?

— Co, Pawełku?

— Przecież wiesz... — Tu nagle wargi Pawełka wygięły się żałośnie, zachlipał i przez to chlipanie wykrztusił: — Obiecałaś. Obiecałaś...

Z trudem udało się utulić jego rozżalenie. Na próżno babcia dawała słowo, że następnym razem przywiezie scyzoryk, na próżno mama tłumaczyła: — To nie jest dla ciebie zabawka. Mógłbyś się skaleczyć. Żeby mieć scyzoryk, trzeba chodzić co najmniej do szóstej klasy.

Ponieważ chlipania nie ustawały, trzeba było wyprowadzić mojego małego brata na spacer. Jedynie pomalowany na żółto kręcioł mógł skierować jego myśli na inne tory. Kręcioł był niedaleko, na placyku, blisko osiedlowego sklepu.

— Pójdę i ja z wami. — Babcia zawiązała ciaśniej chustkę. — Niech sobie popatrzę, jak żyjecie, niech sobie odetchnę tutejszym powietrzem.

Gdy Pawałek dopadł już kręcioła, babcia pokiwała z przyganą głową.

— Kto te drzewiny sadził? Chyba nie ogrodnik. I żadnego starania przy nich nie widzę. Pomyśli to kto, że one także żywe, że dychają, wodę piją, ziemią się karmią?

Uczepiwszy się ramienia kręcioła, Pawełek biegał dokoła po mokrym asfalcie.

W tej chwili do Pawełka i do kręcioła podbiegł chłopczyk w czerwonej czapeczce. Pawełek wrzasnął wniebogłosy, nie wiadomo, czy z gniewu, czy z radości, a potem dwie małe figurki sczepiły się w nieoczekiwanej bójce.

Z trudem ich rozdzieliłyśmy.

— Co to za szataniec?

— Kubuś, brat mojej koleżanki — wyjaśniłam babci. — Okropnie nieznośny.

W tym miejscu musiałam przerwać, bo w ślad za Kubusiem ukazała się Aśka.

— Już wiesz, co napisać? — spytała mnie przechodząc, ale nim zdążyła podejść do kręcioła, Pawełek i Kubuś w najlepszej zgodzie biegali po placyku.

— Co masz napisać, Moniczko? — chciała wiedzieć babcia.

— O wiośnie na naszym osiedlu. Ale nie mogę, bo u nas nie ma żadnej wiosny.

— Coś ty, wnusiu? Zawołaj koleżankę, ja wam pokażę.

Trudno powiedzieć, czy ja nie umiem patrzeć, czy to babcia, jakby czarodziejka z bajki, przemieniła wszystko. W jej obecności nagle najzwyczajniejsze rzeczy stały się inne niż zawsze, odmienne po wiosennemu, aż trzeba się było dziwić, że wcześniej ich nie zauważyłam.

— Pączki na gałęzi, patrzcie, jakie duże. — Palec babci delikatnie, najdelikatniej dotykał prawie niewidocznej smużki zielonego pęknięcia między dwiema brązowymi łuskami. — Tylko patrzeć, jak się listeczek na świat wywinie.

— Gołąb się nadyma, gołąbkę na gniazdo zaprasza. — Po chodniku dreptał nastroszony gołąb, a piórka na jego szyi lśniły różowawo i błękitnie. — Wystroił się już po wiosennemu, elegant. I szpaczek się wystroił, aż się mieni.

Rozejrzałyśmy się z Aśką, ale nie zobaczyłyśmy wcale ani szpaka, ani jego mieniących się piórek, tylko wrzaskliwą czeredę wróbli podskakujących po trawniku.

— Szukają suchej trawy, żeby gniazdo uwić — po wargach babci prześlizgnął się uśmiech. — Widzicie tego, który już ze trzy źdźbła trzyma w dziobie? Prawdziwy gospodarz, już o domu myśli.

I naprawdę tak było, jak pokazywała babcia. Dotąd nigdy nie zauważyłam, żeby wróble zbierały suche łodyżki trawy. I pączki na osiedlowych drzewkach mało mnie obchodziły, a jak się im dobrze przypatrzeć, to widać, że wiosna już blisko.

Ale najdziwniejsze, że babcia odnalazła także i kwiaty. Pod samą ścianą bloku coś się nieśmiało żółciło.

— Podbiał, mądre ziółko, w chorobach pomocne. A wyrośnie wszędzie i prawie pierwszy od słońca się rozwija.

Żeby nic nie przegapić z pokazanych przez babcię dziwów, otwierałyśmy jak najszerzej oczy, a w ślad za nami postępowali Pawełek i Kubuś, jakoś tak dzisiaj wyjątkowo cisi i zgodni.

— Pan Henio zdjął huśtawkę — zakomunikował nam Pawełek uzupełniając wieści o wiośnie. — Ona się połamała, jak się huśtał Waldek, ale to było dość dawno.

Nie wiem, co zrozumiały babcia i Aśka, ale ja zaraz wiedziałam, co chciał powiedzieć mój mały brat. Na wiosnę jest potrzebna nowa huśtawka, kiedy ze wszystkich bloków wysypie się dzieciarnia na betonowe placyki.

— Już mnie nogi bolą od chodzenia. Teraz i beze mnie znajdziecie, co trzeba.

Dwaj malcy odeszli z babcią, pewno Pawełek zdążył szepnąć coś Kubusiowi o słoiku miodu, a może chciał się pochwalić tym, co udało mu się zbudować z klocków, a czego nie pozwalał od wczoraj nikomu zburzyć.

— To ja już pójdę — powiedziała Aśka, jakby z ich odejściem zwątpiła w sens dalszych poszukiwań. — Zaraz napiszę, dopóki pamiętam. To żółte jak się nazywa?

— Podbiał.

— Aha.

Do stojącego przed spółdzielnią wózka, kryjącego aparat do wody sodowej, podeszła jakaś pani w kożuchu i wełnianej czapce. Wyjętą z torby szmatką zaczęła czyścić zakurzone boki wózka.

Przecież to także jest zapowiedź wiosny, ta zmywająca wózek szmata, ta przyżółkła biel farby wyłaniająca się spod zimowego osadu. Napiszę i o tym.

Ewa Nowacka

Rys. Wanda Orlińska

SŁONECZNE ODZNACZENIE

Jest takie — jedyne na świecie — nadawane przez dzieci dorosłym odznaczenie, którego nazwa mówi o nim wszystko: „ORDER UŚMIECHU".

W roku 1967 w konstancińskim sanatorium przebywał chłopiec, co marzył o orderze dla wszystkich dorosłych, którzy obdarzają dzieci uśmiechem, radością i zdrowiem. Powiedział o swym marzeniu pani Wandzie Chotomskiej, a ona — jak to się mówi — przekazała sprawę dalej, do „Kuriera Polskiego". „Kurier" napisał o tym pomyśle. Rozpisano specjalny konkurs na projekt orderu. Napłynęło 44 tysiące projektów od dzieci. Wybrano „Słoneczko", które narysowała 9-letnia Ewa Chrobak. A potem powołano specjalne Jury, tzw. Kapitułę Orderu Uśmiechu, która na wniosek dzieci zaczęła przyznawać to odznaczenie.

Do chwili obecnej przyznano je 282 osobom. Otrzymali je m. in. — sławny lekarz ortopeda prof. dr Wiktor Dega (jako pierwszy, więc jego legitymacja ma numer 1), papież Jan Paweł II, sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim, autorka książek o Muminkach — Tove Jansson, dyrektor teatru lalek Sergiusz Obrazcow, Astrid Lindgren — autorka „Fizi Pończoszanki", sławna bułgarska poetka (i tłumaczka literatury polskiej) Dora Gabe.

Obok sławnych kawalerów „Orderu Uśmiechu" wybrały dzieci i uczyniły sławnymi wielu cichych, dotychczas mało komu znanych dobrych, szarych ludzi, takich jak np. ta babcia z Krakowa, która dzieciom z sąsiednich podwórek opowiada bajki.

Wśród nich — na bardzo poczesnym miejscu — znajdują się lekarze ratujący dzieciom życie, przywracający im zdrowie i radość. Aż 25 lekarzy zostało kawalerami „Orderu Uśmiechu". To o czymś świadczy!

Dzisiaj z okazji Dnia Pracownika Służby Zdrowia wymieniamy niektóre nazwiska.

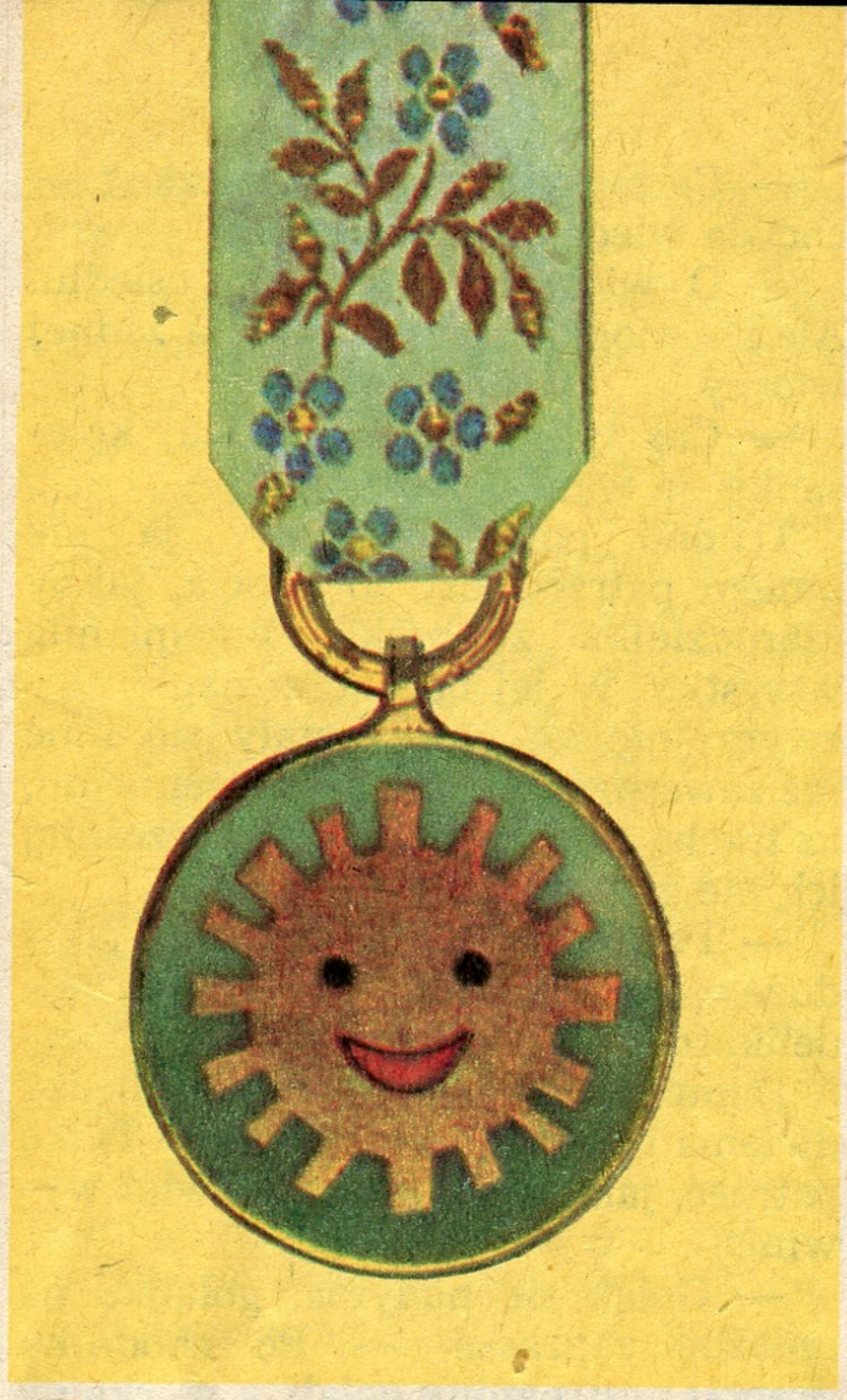

Dwie strony Orderu Uśmiechu

Prof. dr Wiktor Dega, chirurg-ortopeda

Prof. dr Antoni Chrościcki — kardiolog

Oto — dr Zbigniew Petri dyrektor Domu Dziecka w Stargardzie Szczecińskim, dr Jadwiga Górniak i dr Krystyna Karczewska (z woj. katowickiego) prowadzące od wielu lat obozy harcerskie dla dzieci niepełnosprawnych.

Są też profesorowie medycyny: Halina Kobierska — organizowała po wojnie opiekę nad dziećmi i do tej pory okazuje im wiele życzliwości, Antoni Chrościcki, który leczy dzieci chore na serce, Jan Rudnik — dyrektor sanatorium dla dzieci w Rabce, Jan Bieniek z Zakładu Leczniczo-Wychowawczego w Wierzbicy, pomagający żyć dzieciom kalekim łatwiej i weselej.

A teraz — w jaki sposób dzieci przyznają dorosłym „Order Uśmiechu": — Najpierw klasy, szkoły, drużyny harcerskie, drużyny podwórkowe i inne zespoły wybierają kandydata i podpisane listy wysyłają do Kapituły „Orderu Uśmiechu" (mieści się przy redakcji „Kuriera Polskiego" w Warszawie ul. Hibnera 11). — Potem wszyscy czekamy na werdykt, który ogłaszany jest dwa razy w roku — na wiosnę i na jesieni. Cieszymy się tym bardziej, im więcej dekorowanych jest słonecznych ludzi.

Krystyna Okuszko

Prof. dr Halina Zapaśnik-Kobierska (w środku)

ŻYCZYMY DUŻO ZDROWIA!

W służbie zdrowia w Polsce pracuje ponad 700 tys. osób. Wśród nich jest około 82 tys. lekarzy różnych specjalności i prawie 180 tys. pielęgniarek. Z nimi spotykamy się najczęściej. Poza tym jest wielu farmaceutów, psychologów, felczerów, laborantów, techników medycznych i stomatologicznych, salowych, rejestratorek, kucharek. W niektórych szpitalach pracują ludzie nie mający pozornie nic wspólnego z medycyną. To inżynierowie i technicy obsługujący coraz częściej stosowaną i bardzo skomplikowaną aparaturę medyczną.

Wszyscy lekarze troszczą się o nasze zdrowie. Leczą nas z różnych chorób, dokonują zabiegów i operacji. Czasami ratują życie. Niekiedy pomagają tylko w pozbyciu się kaszlu lub kataru.

Ale są też lekarze, którzy starają się czynić tak, jak powiedział doktór Janusz Korczak: „dzieci nie wystarczy leczyć i wychowywać, trzeba je kochać". Wielu ludzi w białych fartuchach kocha dzieci. W nieszczęściu czasem są ich jedynymi niezawodnymi przyjaciółmi. Okazują swoim pacjentom wiele zrozumienia, życzliwości i serca. Sami dobrze wiemy, że wystarczy nieraz kilka miłych słów lub uśmiech pani dentystki czy pielęgniarki, a zabieg mniej boli. Jesteśmy im wdzięczni za to.

Lekarzy, którzy szczególnie zasłużyli na sympatię i wdzięczność małych pacjentów jest wielu. I o nich napiszemy innym razem.

Od Was czekamy na listy o tych lekarzach, którzy Wam pomogli.

Z okazji Dnia Pracownika Służby Zdrowia, obchodzonego równocześnie ze Światowym Dniem Zdrowia, życzymy wszystkim zatrudnionym w przychodniach, szpitalach, żłobkach, szkołach i sanatoriach dużo zdrowia i satysfakcji z wykonywanego zawodu.

A.O.

ROZMOWA z docentem drem KAZIMIERZEM WOJCIECHOWSKIM

Płomyczek:

— Jest Pan ordynatorem Oddziału Chirurgii Dziecięcej Szpitala im. B. Krysiewicza w Poznaniu, jednocześnie dokonuje Pan operacji, szkoli studentów i młodych lekarzy... Co spowodowało, że zainteresował się Pan właśnie chirurgią dziecięcą?

Docent:

— Akademię Medyczną ukończyłem ponad trzydzieści lat temu. Moje zainteresowanie chirurgią rozpoczęło się w czasie studiów, kiedy to prof. Miętkowski zaproponował mi, żebym został jego asystentem. I zostałem. Najpierw, jako student, młodszym asystentem profesora, a po studiach kontynuowałem i rozwijałem zainteresowania chirurgią dziecięcą.

— Czy mógłby Pan opowiedzieć o jakimś trudnym, skomplikowanym wypadku?

— Takich przypadków bywa wiele, ale powiem o jednym, ku przestrodze uczniów.

W jednej ze szkół, w czasie przerwy, posprzeczali się dwaj chłopcy i jeden popchnął drugiego. Popchnięty uderzył o ścianę plecami, a potem głową — nawet niezbyt mocno. W czasie lekcji nauczycielka zauważyła, że uczeń oparł się o pulpit. Pomyślała, że zasnął, a kiedy usiłowała go obudzić stwierdziła, że jest on prawie nieprzytomny. Powiedział tylko, i to nie bardzo wyraźnie, że boli go głowa. Nauczycielka nie zbagatelizowała tej sprawy i wezwała pogotowie. Przewieziono chłopca na nasz oddział i poinformowano o wypadku. Zdjęcie nie wykazało złamania czaszki, ale doświadczenie pozwoliło mi stwierdzić, że jest to krwotok do wnętrza czaszki. Z ogromnym pośpiechem przygotowano chłopca do zabiegu. Operowałem. A potem była ogromna radość całego zespołu operującego, kiedy po obudzeniu z narkozy chłopiec odzyskał przytomność. Szybkie działanie, najpierw nauczycielki, a potem nasze uratowało mu życie lub pozwoliło uniknąć kalectwa.

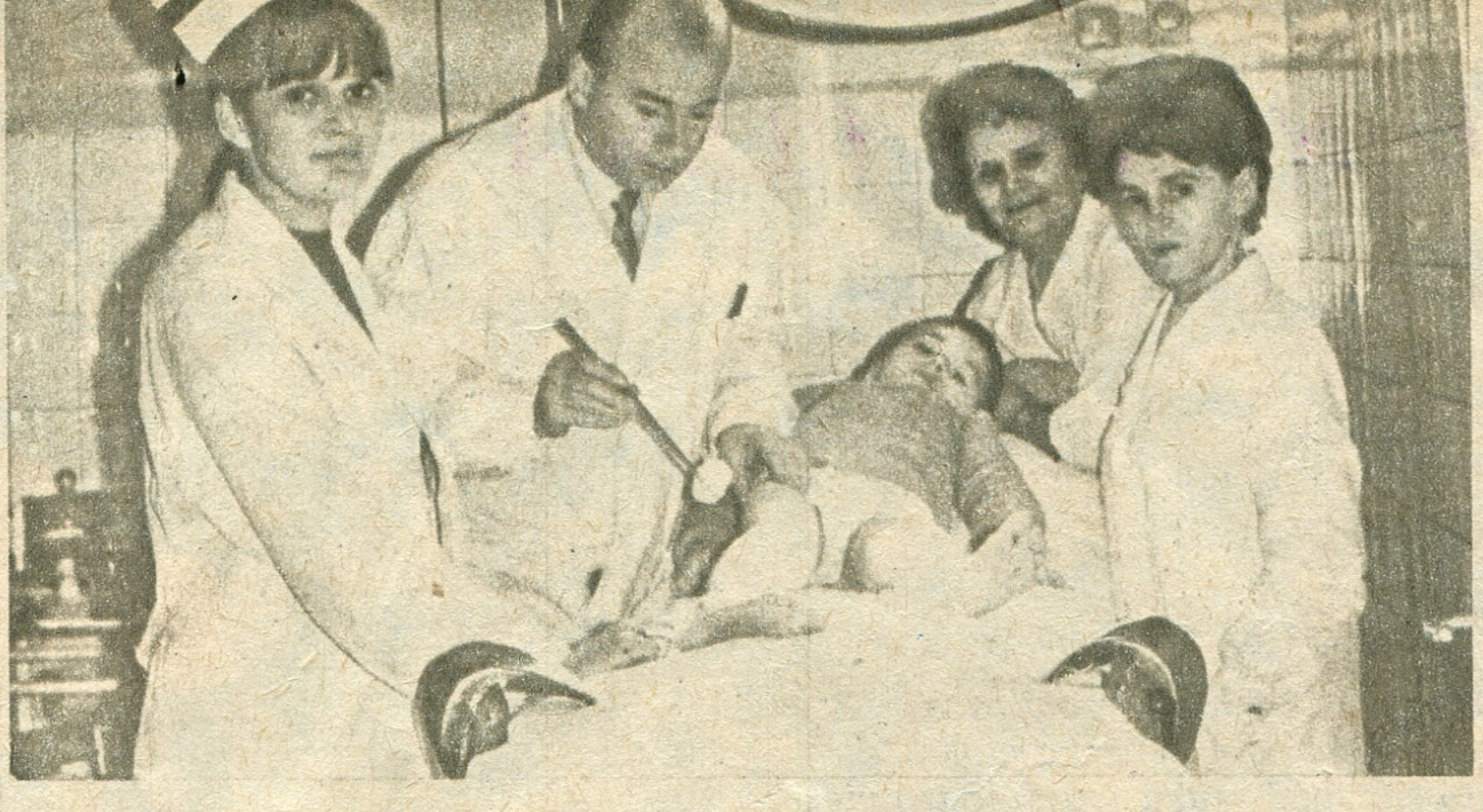

Doc. dr Kazimierz Wojciechowski podczas zabiegu

— *A najdziwniejszy przypadek?*

— Najdziwniejszy? To może ten, z czasu, kiedy jeszcze studiowałem? Do szpitala zgłosiło się dwóch chłopców. Jeden z nich miał szeroko otwarte usta, po wykrzywionej bólem twarzy płynęły łzy i nie mógł wyrzec ani słowa. Ten drugi poprosił o pomoc, bo kolega okropnie ziewnął i coś mu się stało.

Chociaż byłem jeszcze studentem, wiedziałem, że to zwichnięcie żuchwy i wiedziałem, jak to nastawić. Chłopiec po zabiegu czuł się uszczęśliwiony, a ja byłem dumny z siebie, choć w działalności chirurga nie jest to żaden wyczyn.

Przy okazji rada: przy ziewaniu nie otwierajcie ust zbyt szeroko!

— *Co Pana najbardziej niepokoi?*

— Martwi mnie stale wzrastająca liczba wypadków, zwłaszcza oparzeń wśród dzieci. W ubiegłym roku mieliśmy 400 takich przypadków na moim oddziale.

— *Co prócz operacji jest bardzo ważne w leczeniu dzieci?*

— Zawsze staram się chronić dziecko przed lękiem, bólem, niepokojem i jak najszybciej łagodzić jego cierpienie.

Na to, że przez całe moje życie jako chirurg dbam o szybkie usunięcie bólu, złożyły się dwie przyczyny: pierwsza — tego nauczyli mnie moi profesorowie, a druga — sam wiem, co to jest ból. W czasie wojny, jako chłopiec byłem operowany z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego. Nie było wtedy żadnych leków przeciwbólowych. Tamten ból pamiętam do dziś.

— *Czy zmieniłby Pan zawód, gdyby można było na nowo dokonać wyboru?*

— Nie. Stanowczo nie zmieniłbym zawodu ani specjalizacji.

— *Życzymy Panu dalszych sukcesów w pracy i szczęścia w życiu osobistym.*

W imieniu „Płomyczka" rozmawiała
lekarz chorób wewnętrznych
Renata Opala

Dr Hanna Rondio z Centrum Zdrowia Dziecka, w głębi dr Janusz Książek

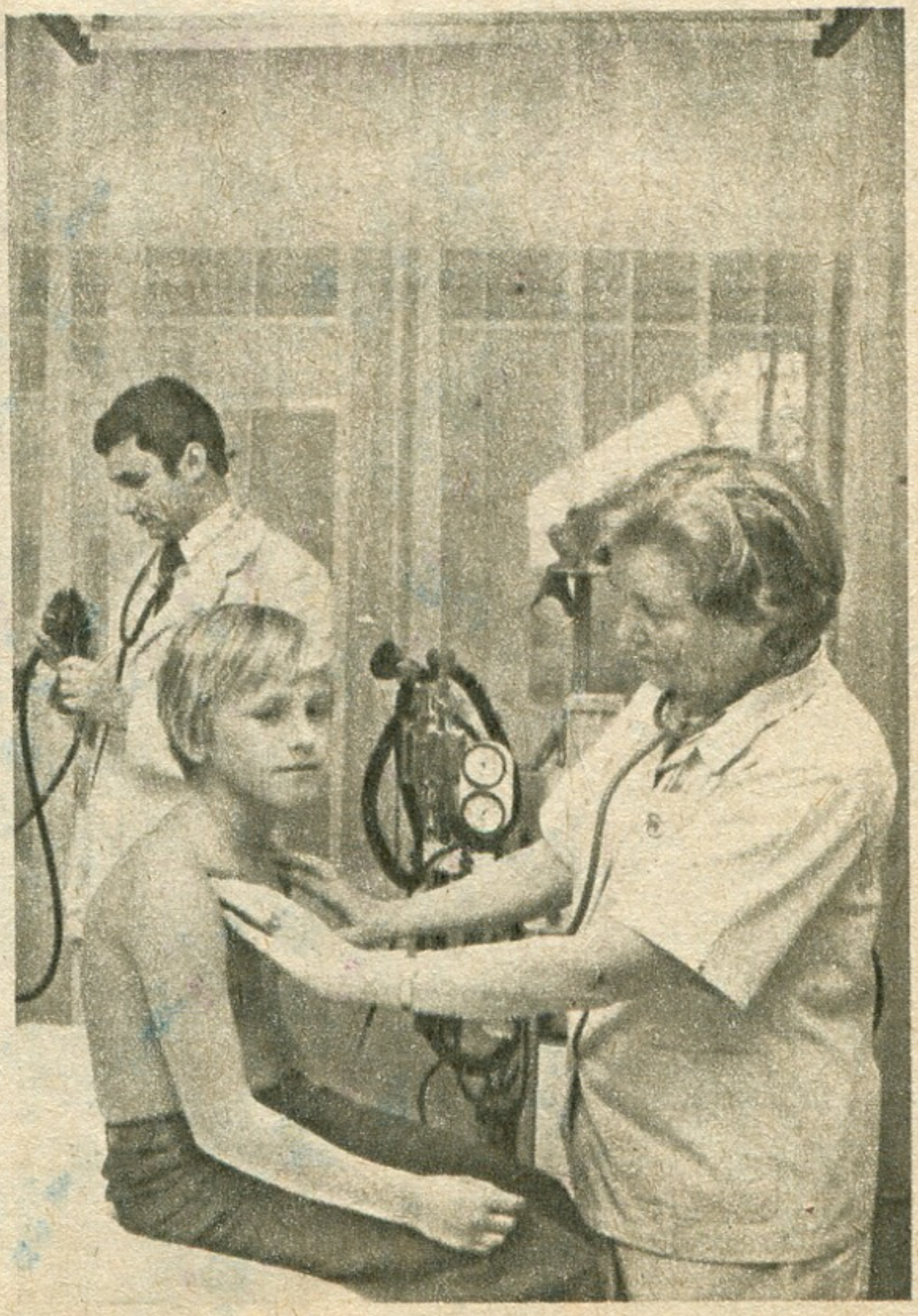

SŁONECZNA ULEWA

Chmury nad miastem
takie są jasne,
takie lekkie
takie świecące
jakby nie deszcz miał z nich lunąć,
ale słońce.
Tak,
to prawda,
to słoneczna ulewa,
bo zielenią się od niej drzewa
i motyle kąpią w niej oczka pawie,
i udało się spod muru wyjrzeć trawie.
Nawet jezdniom i chodnikom jaśniej.
Od tramwajów,
od autobusów
czerwień bije.
Tak,
to nie deszcz.
To wiosna właśnie
spadła z chmury na łeb, na szyję.

Joanna Kulmowa

SZYBKA JAK STRZAŁA

Nad głową jak strzała,
świst i — przeleciała,
szczebiocząc pomknęła,
pół nieba przecięła,
by oczy ubawić,
nad nami rysuje
zygzaki i kółka,
najszybsza z błyskawic,
jaskółka.

Na czarnych swych skrzydłach,
tak szybka, tak śmigła,
z najszybszych najszybsza,
jak pocisk, jak wystrzał,
w obłokach gdzieś krąży,
aż ludzie pytają,
czy słońce wiosenne,
promienne nadąży
za nią?

Tadeusz Kubiak

Rys. Przemysław Woźniak

ŚMIGUS, DYNGUS

W Wielkanocny Poniedziałek, stary zwyczaj każe oblewać się wzajemnie wodą wołając przy tym: śmigus! dyngus! Dziś wystarczy, by zachować zwyczaj — buteleczka zwykłej wody lub odrobina wody kolońskiej, ale kiedyś w „Lany Poniedziałek" zdarzały się i całe wiadra, którymi hojnie oblewano, zwłaszcza co ładniejsze panny. Trafiało się nawet wrzucenie kogoś do rzeki czy stawu... I choć czasem suchej nitki na człowieku nie zostawało, ludzie śmiali się i bawili oblewając wzajemnie. Nie wypadało się gniewać.

W przeszłości „śmigus" i „dyngus" były to dwa różne zwyczaje. „Dyngować" — oznaczało „otrzymywać wykup". Od przymusowej kąpieli można było wykupić się darem, najczęściej były to gotowane jajka, pisanki. Potwierdzają to piosenki i przyśpiewki ludowe:

Przyszłam tu po dyngusie,
Leży placek na obrusie,
Tata kraje, mama daje,
Dajcie malowane jaje.

„Śmigusem" natomiast nazywano zwyczaj lekkiego smagania dziewcząt po nogach gałązkami jałowca, głogu czy wierzbowymi lub brzozowymi witkami, tak długo, aż dały odpowiedni okup. Okupy mogły być różne. W niejednej wsi starzy ludzie pamiętają jeszcze ten zwyczaj. W „Lany Poniedziałek" smagano się gałązkami wierzby mówiąc: „Nie ja biję, palma bije". Połączenie obu zwyczajów „śmigusa" i „dyngusa" wzięło się stąd, że występowały one tego samego dnia. Polewanie wodą łączyło się z chłostaniem gałązkami i składaniem okupu. „Śmigusem, dyngusem" nazywano też dary gospodyni, ofiarowane jako wykup od polewania wodą albo też poczęstunek, na który zapraszało się po takim oblaniu.

W dawnych czasach istniał nawet zwyczaj „chodzenia po dyngusie" na Wielkanoc, tak jak na Boże Narodzenie „chodzenia po kolędzie". Zarówno w jednym, jak i drugim przypadku śpiewano pieśni odpowiednie dla tych świąt i zbierano do koszyków świąteczne podarki.

W różnych regionach Polski tradycyjny wielkanocny obyczaj „śmigusa" nazywany jest nie tylko śmigusem dyngusem, ale oblejem, oblewanką, świętym lejem lub po prostu — lejkiem. Jakkolwiek się jednak nazywa, zwiastuje wesołą zabawę, w której od niepamiętnych lat chętnie biorą udział i starzy, i młodzi.

Święta Wielkanocne zwykle sąsiadują w kalendarzu z datą pierwszego kwietnia. Po łacinie pierwszy kwiecień — to prima aprilis. Z łacińską nazwą tej daty także wiążą się dawne zwyczaje.

W Polsce z okazji pierwszego kwietnia posyłano sobie listy ze zmyślonymi wiadomościami. Zwykle były to wieści o nieprawdopodobnych wydarzeniach. Potem zwyczaj rozciągnięto także na wiadomości opowiadane tego dnia. Przy czym najbardziej cenione były opowieści wesołe.

Jeśli chcielibyście kogoś „primaaprilisowo oszukać", najlepiej wymyślić coś takiego, co nie przestraszy ani babci, ani mamy. Tego dnia trzeba też uważać, aby samemu nie uwierzyć w jakąś sensacyjną wiadomość.

Elżbieta Brzoza

Świąteczne fraszki

Wielkanocna wiosna

Na stole barwinek,
Na wierzbach bazie.
Tyle wiosny w domu
I w polu — na razie.

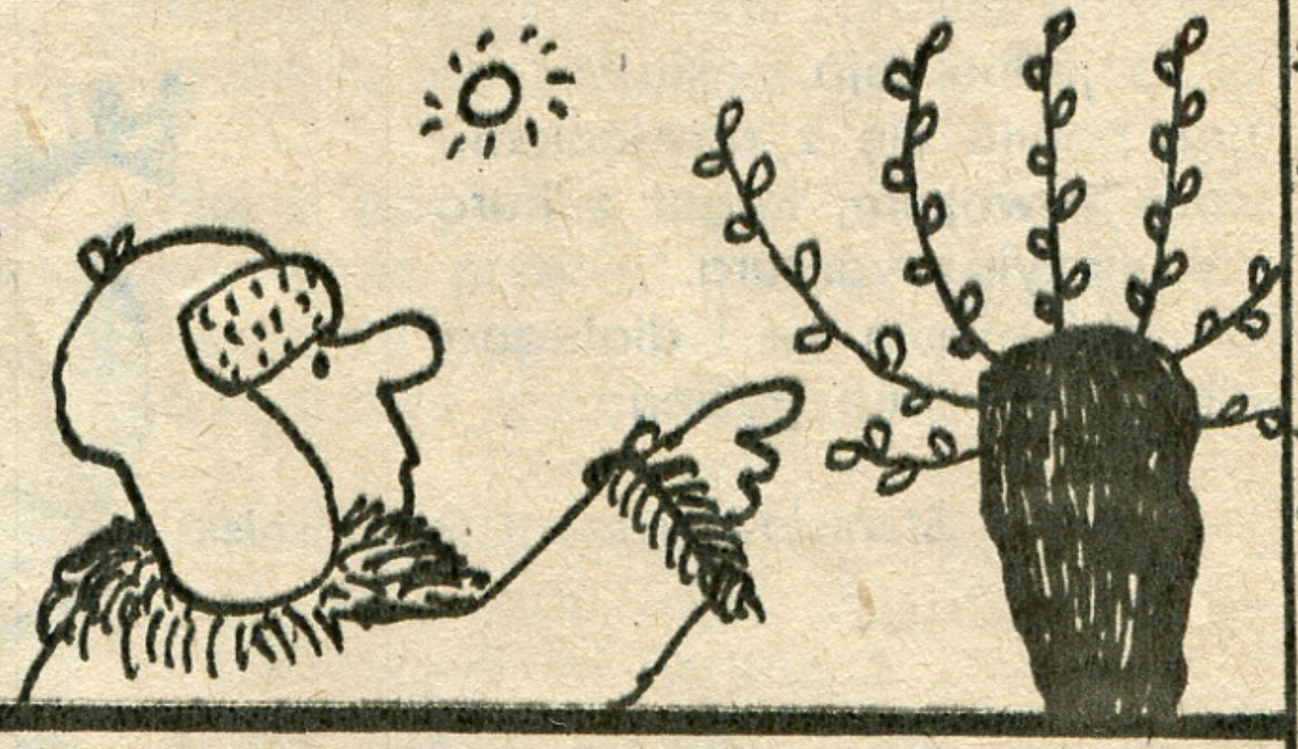

Butenko pinxit

O babie

Wyszła z formy baba,
Wydęta jak bania.
Pewnie sobie szuka
Większego mieszkania.

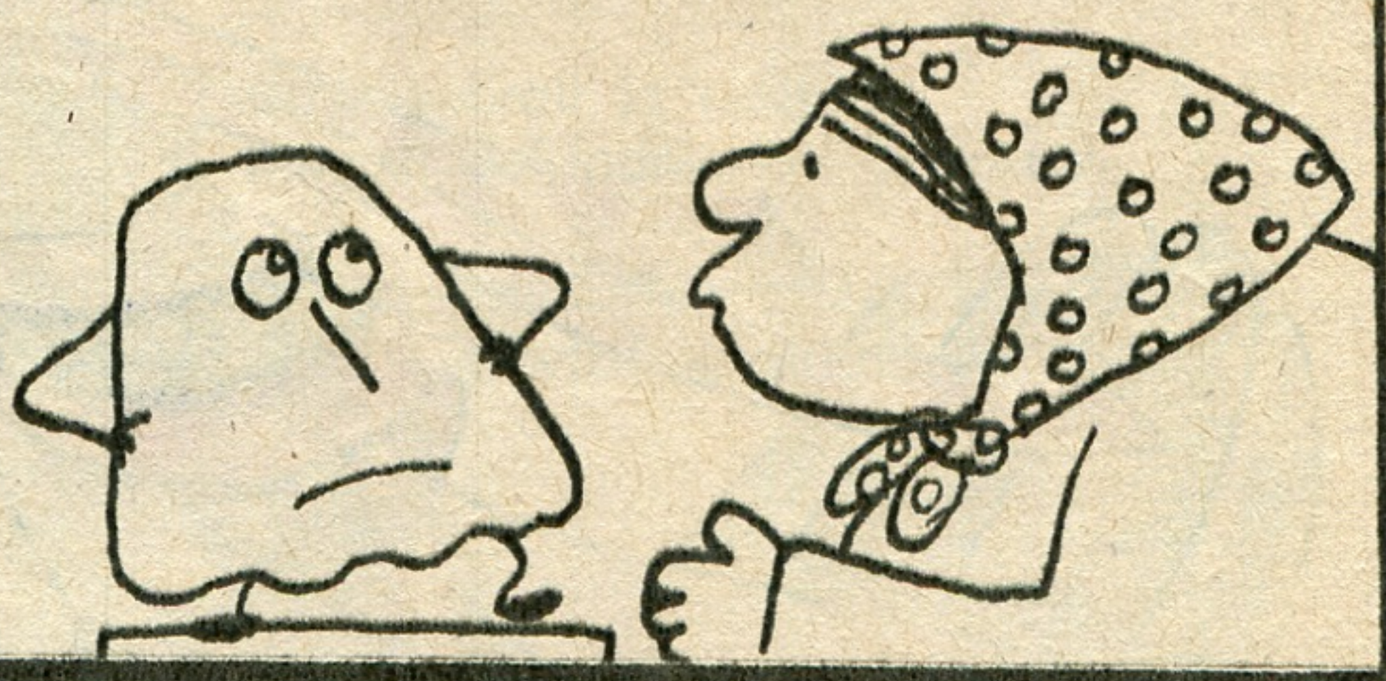

Pisanki

Choć pisanki z Cepelii
Są stołu ozdobą,
Ja tam wolę pisanki
Własnego wyrobu.

Rys. Bohdan Butenko

GĘSIE JAJO

Nie opisze pióro gęsie,
jak się gęś nad jajem trzęsie,
jak to z irytacji syczy,
jak się głupia gęś indyczy,
jak to fuka, jak to dmie się,
zanim gęsie jajo zniesie.

Nie opisze gęsie piórko,
co nacierpi się podwórko,
ile muszą znieść indyczki,
kury, kaczki i perliczki —
ile wszyscy płacić mają
za to jedno głupie jajo.

O to jedno jajo gęsie
gęś pobiła się z prosięciem,
koza z wozem, kogut z kurą
zakończyli awanturą.
Bo gęś głupia — i dlatego
nikt nie je jaja gęsiego.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

BAJKA O KURZE

Zaproszono kurę na przyjęcie —
jajko przyniosła w prezencie.
Etolę miała z kurzych piórek
i grzebień wpięty we fryzurę.
A pod fryzurą — rozum kurzy,
oględnie mówiąc, niezbyt duży.

Ledwie znalazła się przy stole
wszyscy spojrzeli na etolę.
— Ach, co za fason! Jaki model!
Jak to podkreśla twą urodę!
Lecz tutaj z pieca żar aż bucha,
czy nie za ciepło ci w tych puchach?
Spocisz się, zgrzejesz, zdrowia szkoda,
grunt to swoboda i wygoda.

No, a poza tym — taka dama
nie może przecież chodzić w plamach
Lepiej te piórka zrzucić z ramion,
bo jeszcze tłuszczem je poplamią.

Wiesz sama, jak to jest przy stole,
może ci pomóc zdjąć etolę?...
I jak zaczęli jej pomagać,
to się zrobiła całkiem naga.

Bo rozebrali ją pospołu
bardzo dokładnie — do rosołu.

Jeszcze makaron zrobili z jajka.
I tak się właśnie skończyła bajka.

Wanda Chotomska

Rys. Hanna Nowak

Tańczący słoń

Zulejka stanęła na pomoście przystani, oparła się plecami o poręcz, spojrzała wyzywająco na siedzących na ławce.

— Kto z was popłynie na wyspę i zdobędzie totem tych tchórzliwych kojotów?

— Zulejka, zlituj się — odezwał się cieniutkim sopranem najmniejszy ze szczepu Arapachów, Kiel Kuguara.

— Jak ty się odzywasz do swego wodza, Gradowej Chmury — skarciła go dziewczyna.

— Bo... bo... — trąc zarumieniony policzek, wyjąkał z trudem chłopiec.

— Co „bo"? Nie ma żadnego „bo" ani „ale". Ktoś z was musi popłynąć na wyspę i wykonać to zadanie.

Wysoki, szczupły chłopiec z kędziorami opadającymi na czoło podniósł rękę.

— Brawo! — zawołała uradowana. — Znalazł się jeden odważny.

— Nie o to chodzi... — mruknął.

— A o co, Milcząca Skało?

— Nie widzisz, że deszcz pada i jest cholernie zimno? Dziękuję za taką zabawę.

Gradowa Chmura tak na niego spojrzała, jak gdyby za chwilę z jej oczu miały trysnąć błyskawice.

— Nie wygłupiaj się, Zulejka, bo nikt w taką pogodę nie popłynie ci na wyspę. Nasza zabawa dobra jest... — Chciał powiedzieć, że jest dobra na słoneczną pogodę, lecz Gradowa Chmura przerwała mu.

— Milcząca Skało — powiedziała z ironią — do tej pory myślałam, że jesteś najodważniejszym wojownikiem z naszego szczepu. Lecz teraz...

— Teraz chodźmy do „Goplany" na gofry — wpadł jej w słowa rudawy chłopiec o zielonych, kocich oczach.

Za ten pomysł chłopcy nagrodzili go burzliwą owacją, a kiedy ucichli, spojrzeli w stronę wodza. Gradowa Chmura, uniósłszy hardo głowę, obdarzyła ich wzgardliwym uśmiechem.

— Widzę, że to wy, a nie Apacze, jesteście bojaźliwymi kojotami. Gardzę wami. — Uniosła wysoko rękę i pełnym powagi głosem zakończyła: — A teraz słuchajcie: wasz wódz pokaże wam, jak należy postępować! — To powiedziawszy, zbiegła truchtem po schodkach na plażę. Potem zrzuciła z siebie wierzchnie odzienie, tak, że została tylko w kostiumie kąpielowym — i weszła do wody, a dotarłszy do głębiny, rzuciła się w toń.

Chłopcy stanęli przy poręczy. Miny mieli nietęgie. Długo milczeli we wstydliwym zakłopotaniu. Zulejka tymczasem, rozgarniając ramionami wodę, skierowała się ku wyspie.

— Ale dała nam po nosie — powiedział w zamyśleniu Milcząca Skała, w metryce Bartek Dziwisz.

* * *

Zulejka była już blisko wyspy, zwanej przez naszych Indian Wyspą Rybitwy, gdyż na jej brzegu gnieździło się wiele tych ptaków. Drobny deszcz ciął z ukosa.

Gdy stanęła, zapadła się po kolana w mule. Z trudem przedarła się przez gęste zarośla, a gdy wyczuła pod stopami twardy grunt, wybiegła z wody. Płynąc do wyspy rozgrzała się, lecz teraz, gdy krople deszczu cięły ją tysiącem lodowatych szpilek, poczuła chłód. Wzdrygnęła się. Wnet jednak zapomniała o wszystkim, a jej myśli za-

jęło jedno jedyne pytanie: gdzie znajduje się totem wrogiego szczepu Apaczów?

Wspięła się na piaszczystą skarpę. Kryjąc się za pękatymi pniami, zdążała ostrożnie ku środkowi wyspy, gdzie zwykle rozbijali namioty. Przeprawa była ciężka. Zulejka z trudem przedzierała się przez las podszyty kolczastą ostrężyną i gęstymi kępkami paproci. W prześwicie między omszałymi pniami ujrzała wielki totem. Była to dwumetrowej długości deska powycinana i pomalowana w nieregularny deseń przedstawiający głowy wilka, sępa i jelenia. Arcydzieło to wyszło spod dłuta i pędzla Benka Downara — organizatora i zarazem wodza szczepu Apaczów.

Widok wspaniałego totemu olśnił ją, a potem zachęcił do działania. Ukryła się za potężnym pniem sosny. W skupieniu śledziła roztaczający się przed nią teren. Do niedawna cała wyspa należała do jej szczepu, lecz dwa dni temu Apacze podstępem zabrali ją pod swe panowanie. Jedynym sposobem zmycia hańby było wykradzenie totemu.

Polana była pusta, tylko na jej środku między zbudowanymi z gałęzi tipi dumnie tkwił barwny i tajemniczy totem, magiczny symbol szczepu.

Apaczów nie było widać. Zulejka zatarła z radości dłonie. Teraz albo nigdy — pomyślała i jęła się czołgać.

Zbliżała się już do totemu, gdy nagle usłyszała bojowy okrzyk, a za chwilę ujrzała wybiegającego z szałasu Apacza. Zawahała się — uciekać, czy stoczyć z nim walkę. Wnet jednak honor wodza kazał jej bronić się, zwłaszcza że Apacz, mimo pomalowanej czerwoną szminką twarzy i wspaniałego pióropusza z gęsich piór, nie przedstawiał się okazale: był niski, chuderlawy i nie przejawiał zbytniej chęci do walki, tylko krzyczał wniebogłosy, jakby go przypalali na wolnym ogniu. Dla dodania sobie odwagi wywijał w powietrzu toporkiem.

Zula podniosła z ziemi grubą gałąź. Odparowała mizerne ciosy wroga, a gdy zyskała nad nim przewagę, jednym skokiem znalazła się przy totemie. Wyrwała go z ziemi, biegiem wycofała się do lasu. Za sobą usłyszała wołanie:

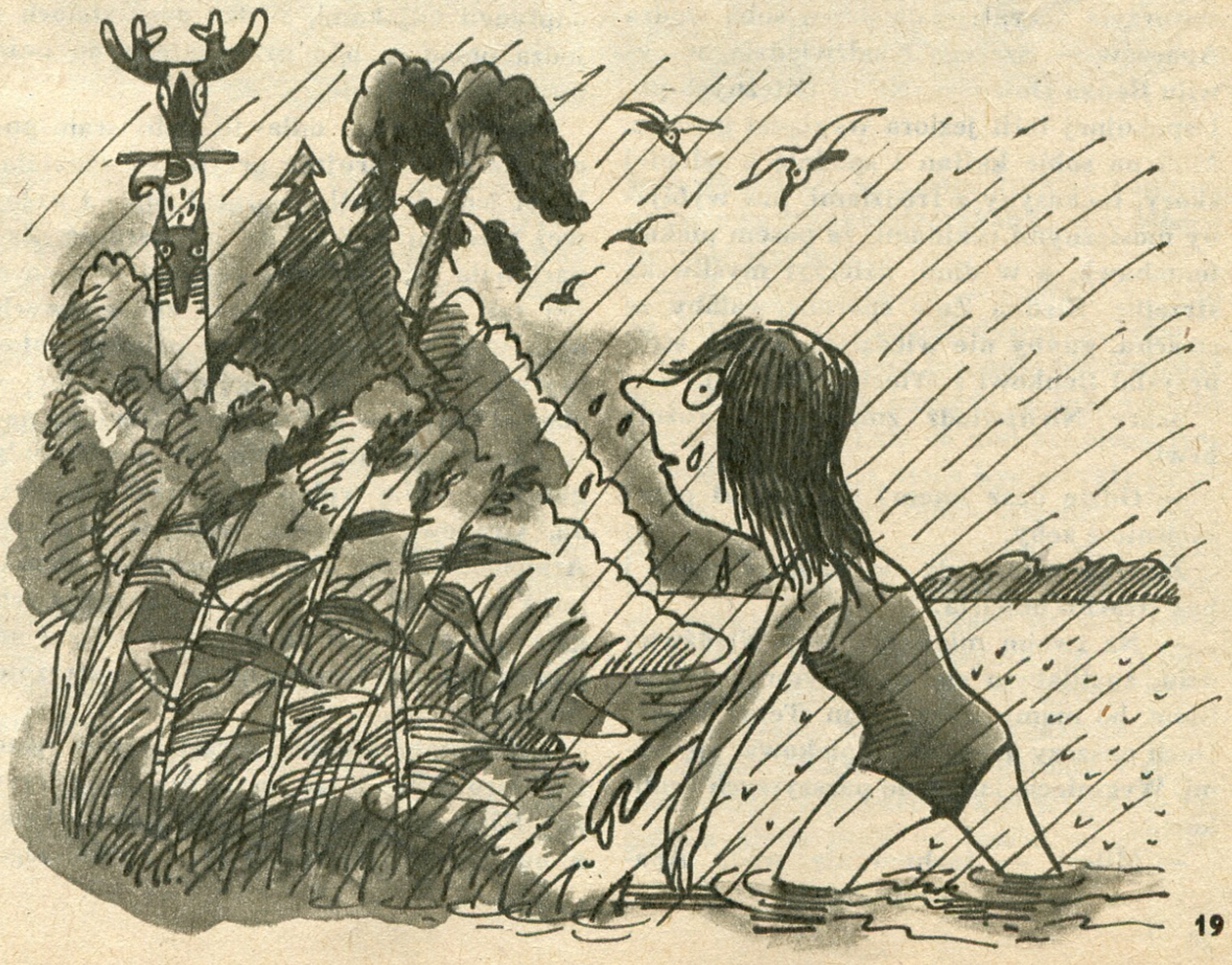

— Alarm! Alarm! Wojownicy, do broni!

Zrozumiała, że wnet ruszy za nią pościg. Chciała przyspieszyć, lecz nasiąknięta wodą deska ciążyła i utrudniała jej ucieczkę. Upuściła ją na ziemię i wlokła za sobą przez zasieki z kolczastych jeżyn. Po stu metrach tej szarpaniny była tak zmęczona, że zaplątała się w wiotkie pręty. Upadła.

Zanim się podniosła, usłyszała wokół siebie bojowe okrzyki wrogów. Rzuciła więc deskę, a sama starała się przedrzeć do brzegu. Kiedy była już blisko skarpy, między pniami ujrzała czerwone twarze i pióropusze. Zawróciła. Po kilku krokach dwóch wojowników złapało ją za ramiona i obaliło na ziemię.

— Związać ją — usłyszała za sobą znajomy głos wodza Apaczów.

— Zawiązać jej oczy! — wołał ktoś z boku.

— Gdzie nasz totem?

— Nie cackać się z wrogiem! — Wokół niej zbierało się coraz więcej barwnych pióropuszy. Ci dwaj, którzy powalili Gradową Chmurę, podnieśli ją z ziemi, a gdy otworzyła oczy, ujrzała przed sobą wodza Apaczów — Szarego Niedźwiedzia, w cywilu Benka Downara. Na tle potężnych pni i spokojnej tafli jeziora wyglądał groźnie. Miał na sobie kaftan i spodnie z jeleniej skóry, mokasyny z frędzlami, pas wybijany mosiężnymi cekinami, za pasem piękny tomahawk, a w dłoni dzierżył myśliwską strzelbę. Biedną Zulę sparaliżowałoby ze strachu, gdyby nie wiedziała, że ten strój przysłał Benkowi z Włoch jego stryj.

Szary Niedźwiedź zmarszczył groźnie brwi.

— Gdzie nasz totem? — zapytał przez zaciśnięte zęby.

Zulejka wyprężyła się, zadarła głowę i bez strachu odparła:

— Na twoim miejscu, Szary Niedźwiedziu, spaliłabym się ze wstydu. Przegraliście, bo mamy wasz totem. Teraz Wielki Duch puszczy przestanie opiekować się wami. Wyginiecie jak stado parszywych królików.

— Milcz! — żachnął się wódz Apaczów. — Jeżeli nie powiesz, gdzie schowałaś totem naszego szczepu, będziemy cię przypiekać na wolnym ogniu.

Dziewczyna zaśmiała się kpiąco.

— Teraz możecie drzeć ze mnie pasy, a nie powiem. Wnet przypłyną tu moi wojownicy i zatrutymi strzałami zrobią z was sito.

Szary Niedźwiedź nie zląkł się jednak tej groźby. Skinął na wojowników, a gdy tamci zbliżyli się do niej, rozkazał:

— Związać ją i zaprowadzić do obozu.

* * *

Dygotała z zimna, szczękała zębami. Ręce miała związane ręcznikiem. Cienka linka namiotowa, którą przywiązali ją do pnia sosny, wrzynała się boleśnie w ciało. Jedynie myśl, że mimo poszukiwań nie znaleźli totemu, kazała jej z godnością znosić tortury.

„Poczekajcie, tchórzliwe gnojki — myślała. — Ja, wódz Arapachów, potrafię zemścić się, a zemsta moja będzie straszna".

Z żalem myślała, że Apacze już dawno odpłynęli kajakami, siedzą przy stołach i jedzą obiad, a ona przywiązana do pnia marznie haniebnie.

— Żebyście się udławili, żeby wam podali na obiad trujące grzyby — szeptała. Wnet jednak myśl o gorącej zupie i wołowej pieczeni nadwątliła jej hardość. Zapachniało jej świeżymi goframi, a zapach ten tak ją roztkliwił, że z zielonkawych oczu wodza Arapachów na policzki potoczyły się łzy. — Nie mogę nikomu ufać — ciągnęła myśl — ani wierzyć. Zawiedli nawet najdzielniejsi. — Nie! — powiedziała głośno! — Nie wolno mi okazać słabości. Ja, Gradowa Chmura, wódz walecznych Arapachów... — Nie dokończyła zdania, gdyż z oddali usłyszała trzask łamanych gałęzi, a po chwili na ścieżce wiodącej na polanę ujrzała posuwającego się ostrożnie mężczyznę.

Tajemniczy osobnik zaczął zachowywać się nieco dziwnie jak na dorosłego mężczyznę. Kiedy dotarł do szałasów, rozejrzał się, a po chwili zbliżył się do najgrubszego

pnia, obszedł go dokoła, by wreszcie odmierzyć od niego pięć długich kroków. Słyszała dokładnie, jak liczył do pięciu, a kiedy zatrzymał się, ze zwisającej z ramion torby wyjął saperkę — łopatkę z krótkim trzonkiem — i jął kopać. Najpierw zdjął ostrożnie warstwę darni, potem wykopał niewielki dół i, rozejrzawszy się jeszcze raz dokoła, włożył coś do tego dołu.

Zulejka aż westchnęła z wrażenia. Z wzrastającym napięciem śledziła każdy jego ruch. W jej skołatanej poprzednimi przeżyciami głowie rodziły się najrozmaitsze domysły i pytania: Kto to? Dlaczego kopie dół? Co w nim schowa? Może to jakiś złodziej zakopujący łup? A może?...

Na złodzieja jednak nie wyglądał. Ubrany bardziej niż starannie, miał na sobie gumową, sztormową kurtkę, nowiutkie welwetowe dżinsy, sportowe buty — adidasy, granatową czapkę-amerykankę, a w zębach trzymał wygasłą fajkę.

— Jeżeli to złodziej — pomyślała — to na pewno o międzynarodowej renomie.

Do tej pory miała możność obserwować go z tyłu i z boku, lecz gdy po zakończeniu czynności obrócił się do niej przodem, zrozumiała, że to nie może być zwykły przestępca. Jego twarz miała szlachetne rysy. Był wysoki, dobrze zbudowany, ruchy miał opanowane jak dżentelmen, a jego oblicze, otoczone siwymi kędziorami włosów, pasowało raczej do wytwornego Anglika z telewizyjnego serialu niż do złoczyńcy.

To wszystko było tak niecodzienne i zaskakujące, że Zulejka zapomniała o swym rozpaczliwym położeniu, a w jej głowie zagościła nowa myśl — trzeba go śledzić!

Ba, ale jak? W mgnieniu oka rozważyła wszelkie możliwości i postanowiła przeczekać. Niech sobie odejdzie, a wtedy...

Wtedy właśnie nieznajomy dżentelmen spostrzegł ją. Zdawało się, że fajka wypadnie mu z zębów, a on zamieni się ze zdumienia w słup soli, lecz nic takiego nie

— To nic, pro... pana — wyszeptała — tylko bawiliśmy się w Indian.

— Ładna zabawa! Przecież ty możesz dostać zapalenia płuc.

— Eee... — wydęła wargi — jestem zahartowana.

— Zahartowana... zahartowana... —

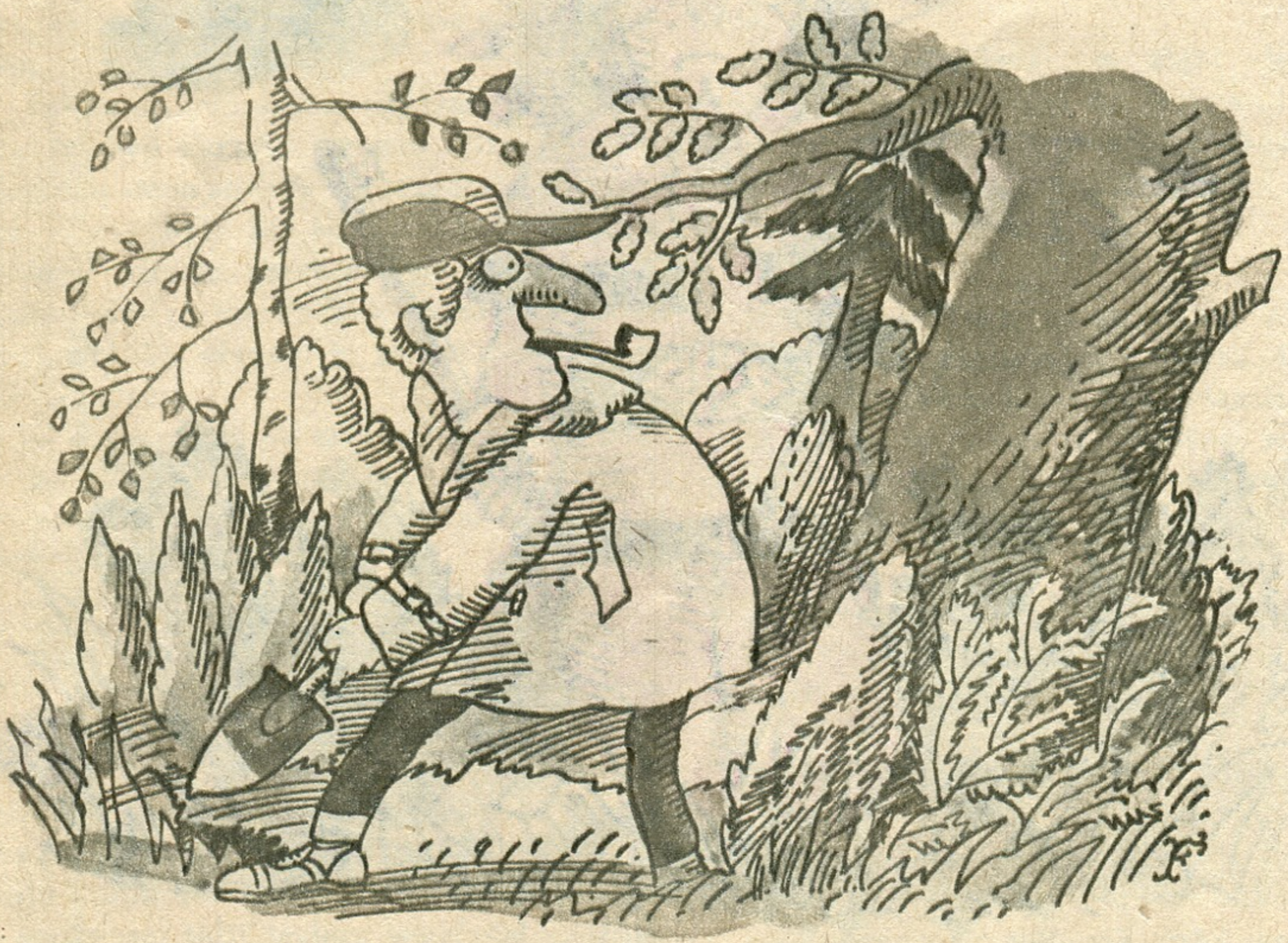

Rys. Jerzy Flisak

nastąpiło. Zatrzymał się tylko i wydał cichy okrzyk. Wnet jednak — jak na dżentelmena przystało — opanował się i, schowawszy fajkę, podbiegł do niej. Zamknęła oczy, by nie widzieć, co nastąpi, lecz nie stało się nic nadzwyczajnego. Tajemniczy osobnik zmienił rolę: z podejrzanego przemienił się w wybawcę. Nie śmiała otworzyć oczu. Czuła jednak, jak uwalnia ją z pęt. Ona zaś zupełnie podświadomie odegrała rolę niewinnej ofiary — osunęła się na ziemię jak zemdlona i wydała cichutki okrzyk ulgi.

Nieznajomy zrzucił z siebie kurtkę, zdjął sweter. Starał się wciągnąć go na sine z zimna ramiona dziewczyny.

— Dziecko — zawołał — kto cię tak szkaradnie urządził?

mruczał. — To nieludzkie zostawić kogoś na dworze w taki ziąb. — Jął wycierać ręcznikiem jej ramiona i ręce. Nagle odwrócił się. — Nie patrzę na ciebie — dodał. — Zdejmij piorunem ten mokry kostium.

Ociągając się, wykonała jego rozkaz.

— A teraz wdziewaj mój sweter i kurtkę — dyrygował. — Musisz jak najszybciej wrócić do domu, wziąć aspirynę i wygrzać się pod kołdrą. Gdzie mieszkasz?

— My z tatą jesteśmy na kempingu.

— W namiocie?

— Nie, w przyczepie.

— Całe szczęście... W namiocie zapalenie płuc murowane. A teraz złap mnie za szyję. Zaraz zaniosę cię do łodzi.

Adam Bahdaj

(Ciąg dalszy nastąpi)

WIELKA WĘDRÓWKA

W ubiegłym roku pan JAN MULAK (dziennikarz, przed kilkunastu laty trener i wychowawca wielu długodystansowców) i jego przyjaciel, pan ZBIGNIEW MAJEWSKI (budowniczy Ośrodka Pięcioboju Nowoczesnego i Jeździectwa w Drzonkowie pod Zieloną Górą) postanowili w niezwykły sposób pojechać do Stanów Zjednoczonych na Igrzyska Olimpijskie do Los Angeles. Ponieważ reprezentacja Polski nie wystąpiła na XXIII Olimpiadzie, to obaj panowie zmienili nieco swój plan. Wyruszyli w długą wędrówkę do Republiki Federalnej Niemiec, Francji i Czechosłowacji.

Panowie podróżowali... wozem zaprzężonym w dwa nieduże konie o imionach: Puma i Gra, a towarzyszyły im trzy polskie owczarki nizinne: Bendula, Europa i Azja.

Wóz, przystosowany do spania w nim, był podobny do wozów dawnych osadników, wędrujących w Europie i w Ameryce. Panowie Mulak i Majewski postawili sobie za cel spotkać się z Polakami żyjącymi za granicą, porozmawiać o sporcie w naszym kraju, o hodowli koni i psów.

Zwiedzali stare miasta, zabytkowe dzielnice, obejrzeli stadniny koni arabskich, normandzkich, przyglądali się wyścigom koni angielskich. Wóz z końmi, z biało-czerwoną flagą i wąsatymi woźnicami pokazywany był w telewizji, opisywany w gazetach i fotografowany. Kto chciał, otrzymywał specjalną kopertę ze stemplem przybijanym osobiście przez pana Mulaka. Wszędzie byli mile widziani, szczególnie przez dzieci, które nie odstępowały od niezwykłego wozu, zachwycały się i końmi, i psami.

Przejechali ponad pięć i pół tysiąca kilometrów! Podróżowali przez pół roku, od maja do października!

Spytałem pana Mulaka, czy mieli jakieś przygody? Odpowiedział, że cała podróż była wielką przygodą!

Natomiast pan Majewski zdradził plan następnej wędrówki.

— Chcemy za rok, to znaczy w 1986 roku, wybrać się do Włoch, do Rzymu na Mistrzostwa Świata w Pięcioboju Nowoczesnym. A jeszcze później, może za dwa lata, spróbujemy przejechać wzdłuż i wszerz przez Amerykę Północną. Przekonaliśmy się, że ludzie są wszędzie życzliwi i lubią takich śmiałków jak Polacy, którzy w końcu dwudziestego wieku jadą konnym wozem.

Witold Duński

Mecz siatkówki w szkole na Tonga

LILIPUTY PACYFIKU

W 4 numerze „Płomyczka" pokazaliśmy Wam najmniejsze państwa w Europie. Teraz trochę egzotyki — kilka najmniejszych państw Oceanii.

TONGA. Z rozrzewnieniem wspominam ten kraj. Jego mieszkańcy dumni są z tego, że u nich rodzi się dzień. I to prawda. Tonga leży w pobliżu 180 południka i tam właśnie wyznaczona jest linia zmiany czasu. My zajadamy niedzielny obiad, a u nich już jest poniedziałek. Tonga to obszar 700 km², ale położony na 169 wyspach. Niektóre z nich są tak małe, że nie wyżywiłyby jednego człowieka. W pięknie położonej stolicy Nukualofa żyje tylko kilka tysięcy ludzi. Właściwie to zlepek oddzielnych wiosek. Jedynie król jest okazały i waży przynajmniej 160 kg. Ludność zajmuje się uprawą bananów i kokosów. Łowi wspaniałe okazy ryb, a w wodach pobliskich upolować można i wieloryba. Tonga ma

Dom w dżungli na Fidżi

około 100 tysięcy mieszkańców. To znaczy tyle, ile u nas np. w Płocku. Kraj uzyskał niepodległość w 1970 roku. Chociaż poprzednio należał do korony brytyjskiej, Anglicy bardzo poważnie traktowali mieszkańców Tonga z racji wspaniałej organizacji ich państwa, jaką zastał słynny odkrywca Cook, który dotarł tu w XVIII wieku.

FIDŻI. Ludność tego kraju liczy już ponad 600 tys. Składa się z autentycznych Fidżijczyków i Hindusów. Tych ostatnich sprowadzili tutaj Brytyjczycy już na początku naszego stulecia. Mieli oni nauczyć tubylców uprawy trzciny cukrowej i powrócić nad Ganges. Spodobało im się jednak tutaj i pozostali. Dziś Hindusi stanowią połowę ludności Fidżi. Ma to ujemny wpływ na stosunki wewnętrzne w tym kraju. Powoduje spory i niesnaski. Fidżi jest archipelagiem leżącym na 322 wyspach. Największą jest wyspa Viti Levu, która posiada piękne, koralowe wybrzeża. Mieszka tam nasz rodak — bratanek Prezydenta Warszawy z 1939 roku — pan Krzysztof Starzyński. W stolicy państwa, Suwa, znajduje się Uniwersytet Pacyfiku, gdzie kształcą się młodzi ludzie ze wszystkich państw Oceanii. Ludność tubylcza odznacza się ciemną skórą, ale nie są to Murzyni. Kraj ten znany jest z produkcji cukru (z trzciny cukrowej), a produkuje go tyle, że na jednego mieszkańca przypada jedna tona cukru. Trzcina cukrowa i palmy kokosowe to charakterystyczne rośliny krajobrazu wyspy.

Mianowanie mataja na Samoa Zachodnim

VANUATU — to dawniej Nowe Hebrydy. W 1980 roku uzyskał niepodległość, wyzwalając się spod panowania Brytyjczyków i Francuzów. Był to bowiem dziwoląg polityczny, tzw. kondominium, czyli kraj za-

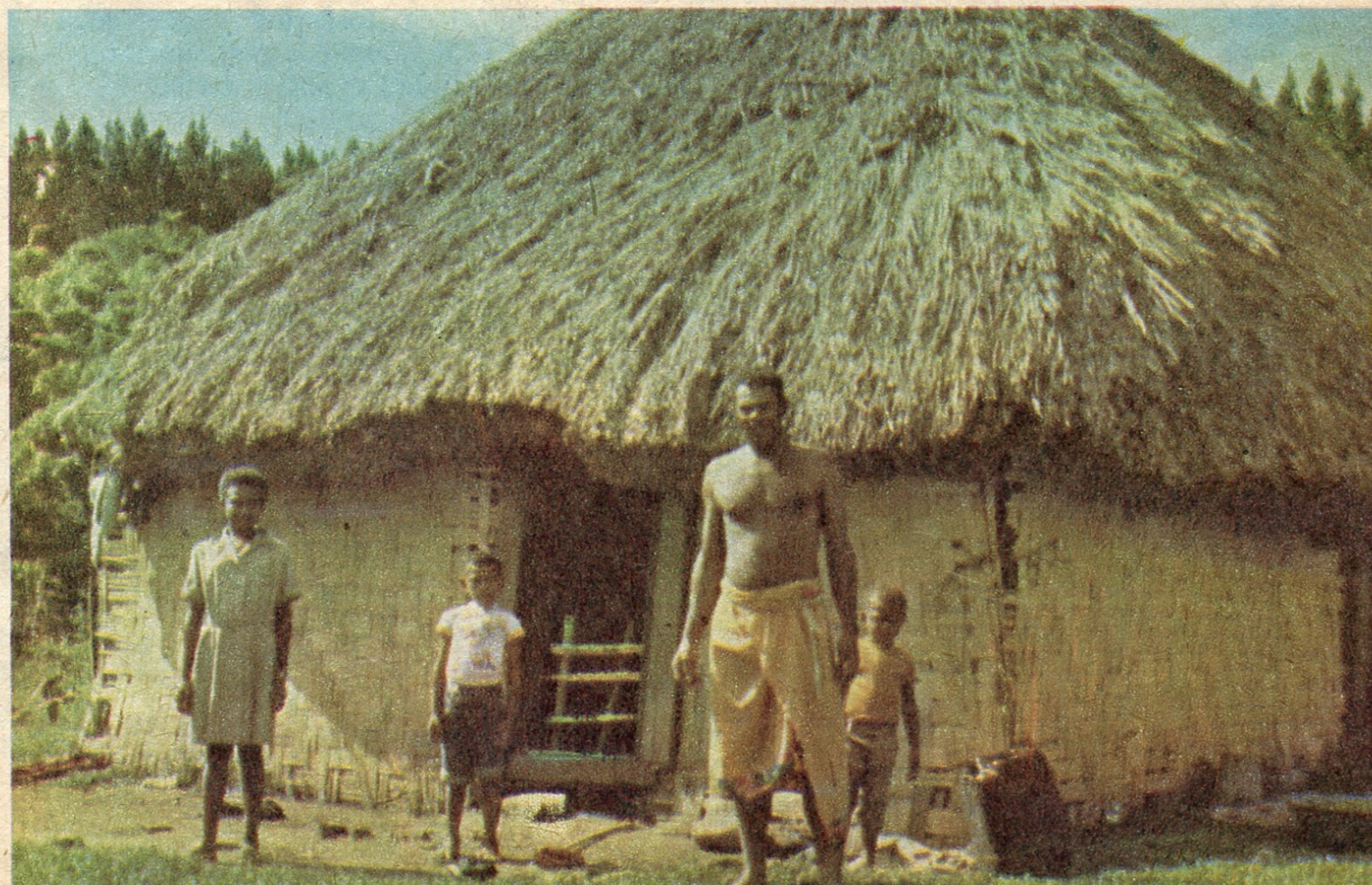

Dom tubylców na Nauru

leżny od dwóch państw. Obchodzono tutaj święto narodowe Francji, czyli 14 lipca, i urodziny królowej brytyjskiej. Trudny jest byt tego małego kraju, liczącego tylko 100 tys. ludzi i przy tym rozdartego w dalszym ciągu politycznie. Niepodległość ma charakter pozorny. Ludność nie jest przygotowana do życia w wolnym, niepodległym państwie.

NAURU. Mówi się, że to jeden z najbogatszych krajów świata. Dużo w tym prawdy. Wyznaczcie w swoim miejscu zamieszkania powierzchnię 21 km². To mniej więcej prostokąt o bokach 4 × 5 km, a na tej powierzchni żyje około 10 tys. ludzi. Wyspa leży na równiku. Nauru jest całe rozkopane, bo pod cienką warstwą ziemi znajdują się ogromne pokłady fosfatów, cennego surowca, niezbędnego do produkcji nawozów sztucznych. Roczne wydobycie określa się na 2 miliony ton. Wpływy z ich eksportu dają ogromny dochód. Fosfaty nie wystarczą jednak na długo i mieszkańcy kraju muszą myśleć o przyszłości. Tereny wyeksploatowane rekultywuje się, młodzież kształci się najczęściej w Australii. W przyszłości Nauru będzie krajem wielkiej turystyki, tzn. nowoczesnych hoteli, sportów morskich itp.

SAMOA ZACHODNIE to najciekawszy kraj Oceanii. Pierwszy, który uzyskał niepodległość. Było to w roku 1962. Samoa Zachodnie to kraj tradycji, opierający swoją państwowość na starych formach urzędu tzw. matajów, czyli wodzów. Piękny to kraj, związany z autorem „Wyspy Skarbów", Robertem Stevensonem. Tu właśnie zmarł autor tej znanej powieści i tu jest jego grób pielęgnowany przez miejscową ludność, zwłaszcza przez dzieci. Tubylcy twierdzą, że odkrył Samoa dla świata. Wyspy są prawdziwym rajem, a bogactwo przyrody dostarcza ludziom wszystkiego, co niezbędne do życia. Obszar, stanowiący połowę naszego małego województwa, zamieszkuje około 200 tys. ludzi. Większość mieszkańców żyje na szczęśliwej wyspie UPOLU, gdzie znajduje się stolica państwa — Apia.

Czym zajmują się tam Wasi rówieśnicy? Prezentuję ich na zdjęciach, odwiedzałem bowiem ich szkoły, chodziłem na zbiory owoców, uczestniczyłem w połowach ryb. Do szkoły chodzą obowiązkowo wszyscy. Czasem jest to szkoła na polanie, bez dachu, ale chęć do nauki widać wielką. Uczniowie słuchają o odległym świecie, o tym, co jest za horyzontem.

Samoa Zachodnie rozwija gospodarkę morską, połowy i przetwórstwo ryb. Bogactwo oceanu w tym rejonie świata jest chyba największe.

WYSPY SALOMONA, najczęściej kojarzą się z przysłowiowym bogactwem króla Salomona. Odkrywcy uwierzyli w legendę i długo trwały poszukiwania skarbów. Okazało się jednak, że największym bogactwem wysp są palmy kokosowe. Chyba stąd powstało powiedzenie, że ktoś zrobił kokosowy interes. Wyspy Salomona uzyskały niepodległość w 1978 roku. Państwo rozciąga się na wielu wyspach, i zamieszkuje je około 200 tys. mieszkańców. Na wyspach tych w okresie drugiej wojny światowej trwały zacięte walki z Japończykami. Wyspy mają wielką szansę rozwoju, posiadają bogate złoża fosfatów (jak Nauru) oraz boksyty. Tymczasem gospodarka opiera się na rolnictwie i rybołówstwie.

Tekst i fot.
Bronisław Dostatni

Wyspy Salomona — dom mieszkalny wśród drzew chlebowych

Konkurs „MOJE NAJCIEKAWSZE", ogłoszony w noworocznym numerze „Płomyczka", przyniósł już pierwsze plony.

Zachęcaliśmy Was do opisania, sfotografowania, narysowania „waszego najciekawszego", czyli interesujących miejsc, spraw i ludzi. Radziliśmy w tym celu rozejrzeć się uważnie, zajrzeć do szkolnych i harcerskich kronik, porozmawiać z dorosłymi, bo „najciekawsze" można znaleźć wszędzie.

I oto teraz, każdego dnia, napływają do „Płomyczka" konkursowe listy. Znajdujemy w nich opisy Waszych miejscowości, legendy związane z ich nazwami, historie dawne i teraźniejsze, zdjęcia lub rysunki przedstawiające pomniki i ciekawe budowle. Okazało się, że interesuje Was bardzo wiele rzeczy. Są w niektórych listach wypowiedzi bardzo osobiste.

Dziś drukujemy pierwsze najciekawsze z „najciekawszych":

Kamila Wacławiak z Droguszy w woj. skierniewickim napisała:

„Od najmłodszych lat interesowały mnie ruiny znajdujące się na terenie naszego gospodarstwa. Pytałam o nie babcię. Od Niej dowiedziałam się, że te ruiny i pobliska górka otoczona z trzech stron wodą, są pozostałością z dawnego dworku szlacheckiego. Bliższe informacje uzyskałam wtedy, gdy do badania tego terenu przystąpili archeolodzy. Wyjaśnili oni, że bajorko stanowiło prymitywną fosę, a na wzniesieniu zbudowana była wtedy drewniana wieża. Z nieodgrodzonej przez wodę strony wchodziło się na trakt, który wiódł wprost do dworku. Tam zamieszkiwał od dawna ród Droguskich (od ich nazwiska pochodzi nazwa mojej miejscowości). Dotychczas została zbadana przez archeologów tylko górka, która powstała prawdopodobnie z ziemi wyrzucanej przy budowie fosy. Ślady spalenizny w głębi ziemi świadczyły o tym, że wieżę zniszczył pożar. Podczas wykopalisk znaleziono kilka glinianych skorup — pozostałości dawnych naczyń. Archeolodzy będą nadal prowadzić badania ruin w czasie lata. Tymczasem górkę opatrzyli tabliczką z napisem „obiekt zabytkowy".

Ta przygoda z a r c h e o l o g i ą jest dla mnie najciekawsza, bo dzięki niej dowiedziałam się wielu nowych rzeczy i zainteresowałam się historią. A swoje „najciekawsze" odkryłam bardzo blisko".

Kamila „swoje najciekawsze" znalazła tuż obok, na podwórku. Natomiast **Magda** z Ostrowca Świętokrzyskiego (prosiła o niepodawanie nazwiska) „swoje najciekawsze" znalazła jeszcze bliżej, bo w sobie:

„Moje najciekawsze — napisała — *to po prostu m u z y k a. Zawsze, gdy idę na lekcje muzyki, jestem radosna, odświętna. Czuję, że spotka mnie coś niezwykłego. Gdy gram, to słyszę szum drzew i liści, słyszę całą orkiestrę. Pewnego dnia zobaczyłam, co znajduje się w środku pianina. A w nocy przyśniły mi się delikatne młoteczki, które wygrywały piękną melodię. Gdy miałam krótką przerwę w ćwiczeniach, to wydawało mi się, że nie gram już cały rok. Muzyka jest „moim najciekawszym", bo pozwala mi głębiej przeżywać wszystko, co mnie spotyka. W muzyce znajduję mój najciekawszy świat."*

Szkoda, że Magda nie zgodziła się na podanie swego nazwiska do druku. Jeśli zmieni zdanie, to wydrukujemy Jej nazwisko w kolejnym numerze „Płomyczka" jako jednej z pierwszych laureatek konkursu.

Pamiętajcie, że autorzy cytowanych listów otrzymują nagrody książkowe, które wysyłamy pocztą.

Wszystkim chętnym do udziału w konkursie przypominamy, że listy należy przysyłać pod adresem: Redakcja „Płomyczka", 00-950 Warszawa, skr. poczt. 380, z dopiskiem na kopercie: „MOJE NAJCIEKAWSZE".

PIERWIOSNEK

Pierwiosnek to nie tylko rzadki i chroniony wiosenny kwiatek, żółty, podobny do prymulki. Nazywa się tak też leśny ptaszek — zielonkawe maleństwo, wielkości pół wróbla, mało komu znany, choć w każdym lesie i skupisku drzew wciąż go słychać. Przylatuje już w kwietniu — stąd jego nazwa pierwiosnek, a gnieździ się i śpiewa jeszcze w lipcu, gdy większość ptaków już zamilkła i wyprowadziła lęgi.

I pierwiosnek, i jego krewniacy — piecuszek i świstunka — należą do rodzaju „Phylloscopus", co znaczy — przeglądacz liści, są łudząco do siebie podobne, tak samo penetrują liście w koronach drzew w poszukiwaniu larw i dorosłych owadów, ale inaczej się odzywają.

Zazwyczaj ptaszki te nazywamy wójcikami. Często można je słyszeć, a mało kiedy można oglądać. Śpiewu pierwiosnka nie sposób pomylić z żadnym innym — ciągle powtarzane metaliczne „cilp-calp, cilp--calp", jakby ktoś przerzucał monety — łatwo można zapamiętać. Stąd pochodzi też nazwa gatunku — „Collybita", czyli liczący pieniądze. Po niemiecku pierwiosnek nazywa się wprost — Zilpzalp (czytaj: cilpcalp).

Choć wójciki żerują wysoko w gałęziach drzew, gniazda zakładają przy ziemi. Piecuszek i świstunka w dołku pod liśćmi, trawami i innymi roślinami leśnego runa, a pierwiosnek — zwykle trochę wyżej, u dołu świerczka, jałowca czy innego krzaczka. Gniazda wójcików to wielkie kule z liści i z trawy, wymoszczone piórami, z małym otworem z boku; w przekroju przypominają dawny piec chlebowy (stąd nazwa piecuszka).

Samiczka składa 4—6 jajeczek, wielkości paznokcia, białych w brązowo-czerwone plamki. Po kilkunastu dniach wysiadywania wylęgają się gołe pisklęta. Gdy mają kilkanaście dni, opuszczają gniazdo i rozpraszają się w jego pobliżu. Jeszcze przez pewien czas są karmione, wreszcie, już samodzielne, znikają w koronach drzew.

W październiku odlatują pierwiosnki na południe, do okolic Morza Śródziemnego, a wracają w kwietniu, gdy zakwitają pierwiosnki. Wtedy zaraz słychać ich głosy „cilp-calp" wysoko w koronach drzew.

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski

Nocą, kiedy nikt nie widzi, rządzi „Płomyczkiem" czteroosobowe, Ściśle Tajne Kolegium Redakcyjne:

- **— Redaktor Naczelny (skryty za chmurą fajkowego dymu),**
- **— Sekretarz Redakcji — Prawa Ręka Naczelnego (z wiecznym bólem głowy),**
- **— Kierownik Działu Westchnień (nieustannie gderający: — Przemęczamy dzieci! Zawyżamy poziom!)**
- **— i Redaktor Pirat (wykradający — od czasu do czasu — pomysły z „Płomyka", „Świerszczyka" i „Misia").**

O świcie znikają jak sen lub mgła. Ale dzięki Panu ZBIGNIEWOWI LENGRENOWI mamy już ich portrety pamięciowe. Być może za rok — w tym samym czasie — spotkamy się z nimi oko w oko.

ZAGADKA 1

Dwie długie, wąskie deski,
a siła w nich taka,
że wznieść cię mogą w górę
jak potężnego ptaka.

ZAGADKA 2

Ma mnie wielbłąd, żółw i słonka,
ale nie ma mnie biedronka.
Jestem w zwykłym kołku w płocie,
pływam łódką, błyszczę w złocie.
Chleb mnie nie ma, lecz ma bułka;
zna mnie sokół i jaskółka.
Dźwięczę w głosie, i to ładnie,
Czym ja jestem? Kto odgadnie?

Krzyżówka

W kratki figury wpiszcie wyrazy o podanych poniżej znaczeniach.

Poziomo: 1. wielka, uroczysta zabawa, 4. słodki owoc południowy, może być z makiem i pasternakiem, 5. mama cielaka, 7. czarno-biały ptak z długim ogonem, przypisuje się mu chęć posiadania błyskotek, 8. krowie dziecko, 9. tak nazywamy ubranie króla, 10. skupisko drzew owocowych, 11. najważniejsza karta.

Pionowo: 1. krótkie obozowanie pod namiotem, 2. skrót imienia Agaty, 3. jedna z nut, 4. ssak morski o pięknym futrze, 5. pożyteczny ssak żyjący pod ziemią, 6. tak nazywamy ziemię uprawianą przez rolnika, 7. komenda skierowana do psa, nakazująca mu, aby usiadł, 8. mierzy go zegarek, 9. nazwa przedstawiciela gromady kręgowców, jest nim również człowiek.

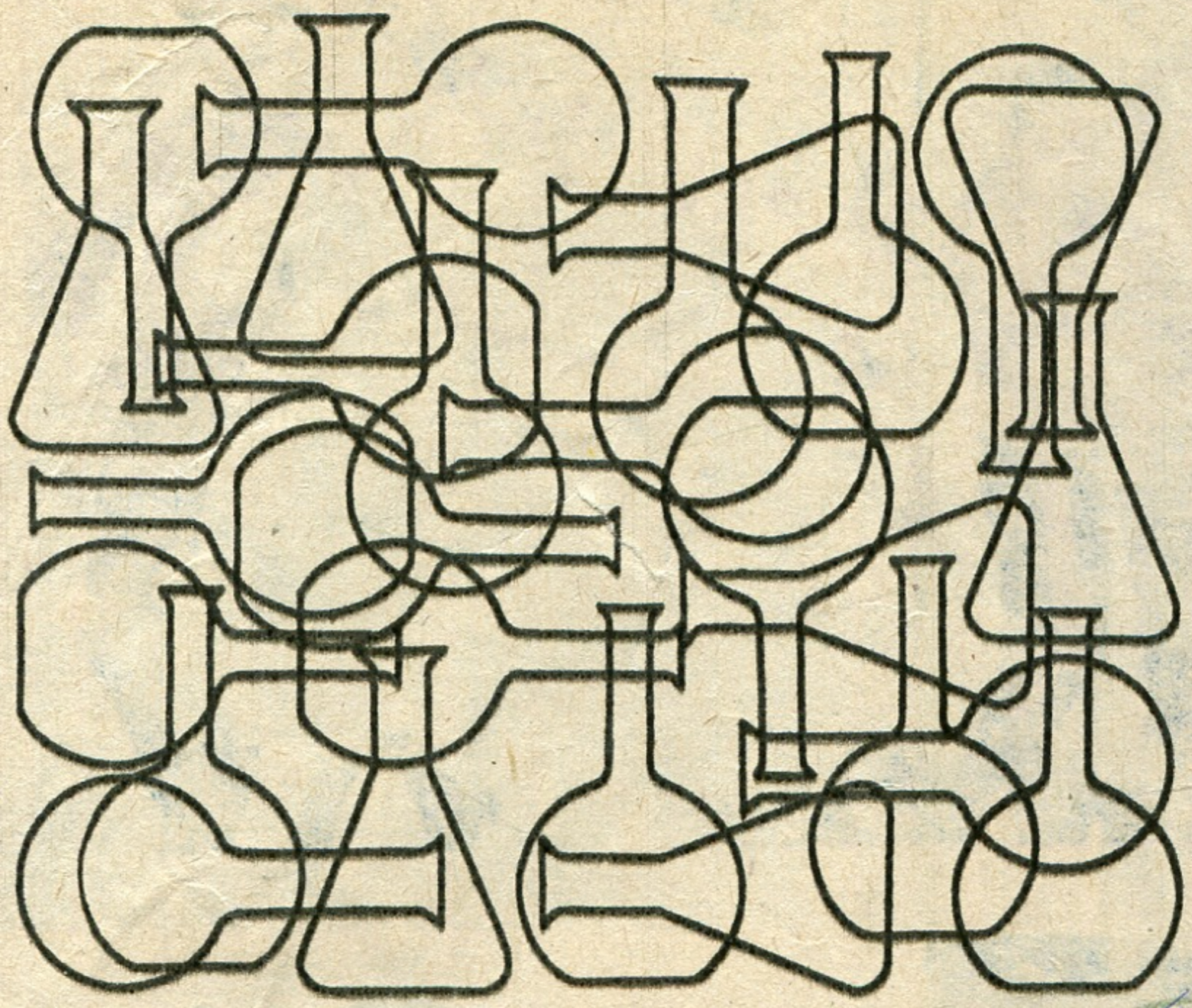

ILE PRZEDMIOTÓW?

Popatrzcie uważnie na ten rysunek i policzcie, ile przedmiotów znajduje się na nim.

KWADRAT LICZBOWY

7	5	3
2	9	4
6	1	8

Do poszczególnych kratek wpiszcie liczby od 2 do 9 tak, aby ich suma w każdym rzędzie pionowym i poziomym oraz na dwóch przekątnych równała się 15. Dla ułatwienia liczbę 1 umieszczono już na właściwym miejscu.

ROZWIĄZANIA Z NRU 4 i 5

Krzyżówka: 1. Poziomo: 1. tasak, 5. plaster, 6. ryba, 8. owczarek, 9. ćma; Pionowo: 1. tasak, 2. seter, 3. korekta, 4. troć, 5. paw, 7. boa; Anagram: jemiołuszka — jemioła, złom, kusza, muszka, Mieszko, zima, kłos, smak, Jasło, koza, okaz, miska, komisja, łom, jak, mak, sum; Krzyżówka 2. Poziomo: 3. lampart, 5. zwada, 6. latarka, Pionowo: 1. kasztany, 2. organki, 4. plama. Krzyżówka z rybą. Poziomo: 2. pisk, 6. nosorożec, 9. runo, 10. kotka, 12. asy. Pionowo: 1. dni, 2. płotka, 3. sporty, 4. dno, 5. cena, 7. żuk, 8. osa; Krzyżówka: Poziomo: 4. trąbka, 5. zakole, 6. malarz. Pionowo: 1. wrzawa, 2. zbroja, 3. talerz. Figura liczbowa. Poziomo: 1. 1-9-4-3, 2. 3-4-8-2, 3. 6-1-3-7, 4. 7-3-2-5. Po przekątnej: 9-3-5, 6-3-8.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 90 zł,
półrocznie — 180 zł,
rocznie — 360 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Władysław Skalny (redaktor techniczny), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1450/85 L-10

Nakład 430 370 egz.

INDEKS 36875

CENA 15 ZŁ

FOLKLOR POLSKI

W wyniku powrotu Polski nad Odrę i Nysę Łużycką oraz nad Bałtyk pod Szczecinem w 1945 r. Ziemia Lubuska została włączona do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Region ten bardzo szybko odzyskał swój tradycyjnie polski charakter i jest naturalnym pomostem między Śląskiem i Pomorzem Zachodnim.

Kobiecy strój lubuski charakteryzuje się wiankiem półkolistym na głowie, nie łączącym się z tyłu, spódnicą na szelkach, kryzami z tiulu, jedwabnym, jaskrawym stanikiem i bogato zdobionym fartuchem. Strój męski stanowią czarne spodnie, czerwona jaka, kapelusz ze stroikiem, rzadziej niebiesko-granatowa rogatywka i czapka krymerkowa.

Podczas wesela nosi się na cylindrach bukiety sztucznych kwiatów i wstążek.

Na naszym zdjęciu stroje lubuskie prezentowane są przez artystów-amatorów z Zespołu Pieśni i Tańca „Cepelia — Poznań".

Tekst i zdjęcia: Tadeusz Samborski